

JEDNODNIÓWKA

Morskiego Rejonu Harcerzy w Gdyni

Wydana z okazji święta poległych za Ojczyznę na polu chwały

Wyjątek z rozkazu 1-12/45/46 z dnia 16 września br., do wszystkich harcerzy Rejonu Morskiego w Gdyni

...wielum z was przypadło w udziale krew przelać za najszczytniejsze idee, a nawet życia swe złożyć na ołtarzu Ojczyzny. Wielu z was zasnęło snem wiecznym, śniąc sen swych marzeń nieziszczonych... setki tysięcy pomordowanych z premedytacją braci waszych, odeszło na wieczną wartę!

Wam jednak przekazali w najświętszym testamencie obowiązek pomsty i obowiązek zbudowania Polski silnej, wielkiej i nieśmiertelnej. Obowiązkiem jest dzisiaj waszym raz jeszcze zdać egzamin swej dojrzałości nietylko żołnierskiej ale i obywatelskiej.

Nie wolno nam zapomnieć ani na chwilę, że hiena hitlerowska, przebita i poćwiartowana, w umysłach ludzi chorych i niebezpiecznych, żyje jesz-

cze. Nie wolno wam zapomnieć o tem, że tylko wtedy ofiara krwi braci waszych cel będzie miała, kiedy wszyscy staniecie jak jeden skalny blok, ramię w ramię do nieublaganej i bezpardonowej walki z pozostałościami hitlerowskiej zarazy! Kiedy każdy harcerz przysięgnie na sztandar białoczerwony i na pamięć tych wszystkich poległych bohaterów „nie spocząć przedź, aż stanie Polska z granitu, Polska ze skały stalowej, Polska Demokratyczna!”

W dniu święta tak wielkiego, Morski Rejon Harcerzy składa hołd tym wszystkim, którzy

ODESZLI NA WIECZNĄ WARTĘ!

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Na śnieżnym szlaku!

Śnieg... śnieg i śnieg bez końca...

Zaginał horyzont zmieszany białym nieskończonym ziemi i białym wirującego i z szaleńcem uderzającego powietrza.

Zdawało się, że niebo i ziemia w jednym szaleńczym splecione huraganie, chęcią, mocą, siłą, ostrością i surowością prądów i porywów zniszczyć wszystko co żywe, zdeptać, zdruzgotać i raz nazawsze zadać śmiertelny cios naturze!

— Lecz ta broniła się zaciekle...

Wiatry z osłepiającą siłą i zaciekleścią uderzające o nędzne, nikłe ściany borów, gięły słabe i skarłowaciałe pnie — targały i rzucały je na wszystkie strony, ogalając je z gałęzi, nadwyrężając korzenie, które kurczowo jakoby trzymały się jałowej zmarzłej i białym pokrytej ziemi.

Tam i ówdzie, słabsze i walką bardziej wyczerpane, traciły oparcie, chwiały się chwilę, wreszcie padały w śnieg głęboki i tylko konary ich suche, niby skostniałe ramiona nieboszczyków — sterczały ku górze...

Zdawało się, jakoby w swym ostatnim, konwulsyjnym drganiem ku niebu wyciągały o pomoc ramiona...

Lecz tam na górze szalała zamieć i zdać się zdawało, — że Bóg śpi i nie troszczy się o losy świata!...

Padaly tak od niepamiętnych czasów, jak bohaterscy skazańcy i obrońcy, jak mężni synowie Ojczyzny...

Lecz nie padały nadarmo!

Ścieliłi swojemi cielskimi pobojowiska. Przygniatali ciężarem swoim korzenie pni młodszych i słabszych; wzmacniając

je. Pruchniały i gniły — użyźniały glebę zamieniając jej jałowe piaski na piękną i bogatą, glebę, która dostarczała żyjącym lepszych i pożywniejszych soków. To też pięły się ku słońcu, rosły wysoko i mocniej niż ich poprzednicy. Czerpały siłę i hart z mogił swych poległych w walce z burzami towarzyszy! Cieszyły się życiem, urodą i siłą — ...a gdy trzeba było, szły w ślady swych poprzedników.

...padały tuż obok, strzaskane gromami lub złamane wiatrami nawałnic. A na cmentarzysku swem, pisały historię, piękną, chlubną, złotą...

— Staszek! — wrzasnąłem głośno, wybiegłem z szeregu i skoczyłem na zaspę.

Leżał w głębokim śniegu, oczyma szeroko wpatrzony w biel puchu, który go otulał.

Krew silnie bluzgała mu z piersi, długimi sznureczkami gorejących rubinów, zaczerwieniała śnieg wokół.

Chwyciłem go silnie w ramiona, uniosłem nieco i przycisnąłem do piersi!

— Staszek... Staszek..., powtarzały moje usta, spieczone, splekane wycieńczeniem, bólem i pragnieniem.

— Boże mój dlaczego?... dlaczego!... — To niemożliwe! — On Staszek, on umrze tu nie może! On, kolega i druch nasz najlepszy... nie może serce jego kryształowe, które było dotąd tylko najwznieślejzymi uczuciami, i tętniło tylko dla tego co dobre, słabe i pomocy potrzebujące, — ...aby ono bić przestało...

— Staszek! — wołałem już teraz coraz głośniejsze... ogarniała mnie czarna rozpacz bezdena... patrzył na mnie nieprzytomnymi oczyma i tylko usta jego z których płynęła krew obficie, szeptały urywkami. Starał się mówić, lecz przestrzeżone i rozerwane płuca nie pozwalały mu na wiele wysiłku.

— Mamo, mamo, to nic. Nie płacz mamusiu, ja jestem szczęśliwy... bądź dumna mateńko, ja...

Szept jego urywał się, chwilami teżał to znów słabł tak, że nie mogłem uchwycić sensu jego dalszych słów.

Gorący pot wystąpił mnie na czoło, wszystkie nerwy dygotały naprężone do ostatnich granic. Sądziłem, że nie wytrzymam. Ścisnęło i rozpierało mnie skronie na przemian, byłem bliski obłędu, płakałem...

Umierał w moich ramionach. Nie było znikąd dla niego ratunku ani pomocy. Wzywałem Boga i kląłem naprzemian... wokół mnie szalała tylko śnieżyca... zdawało się, że niema sprawiedliwości, litości ni Boga...

Staszek szeptał wciąż dalej, i zdawało mi się, jakoby mnie poznawał.

...patrz — patrz to sztandar nasz, to biało-czerwona bandera... pamiętasz naszą przysięgę... pamiętasz?...

Przytakiwałem wciąż mu głową, gdyż z zaciśniętej krtani nie mogłem wydobyć najmniejszego głosu. Śniegiem zwilżałem mu usta i obcierałem krzepnącą krew, aby nie tamowała mu oddechu.

— ...powiedz mej mamie... i jej...

Zeszytniał mnie w ramionach. Ucałowałem ostatni raz kostniejące jego usta i usadziłem go na śniegu. W tej chwili otrzymałem uderzenie kolbą od rozwścieczonego żołdaka za opuszczenie szeregu. Wróciłem spowrotem i zmieszałem się z maszerującymi. Długo jeszcze oglądałem się na zaspę, gdzie siedział Staszek. Żegnałem go wzrokiem, aż zginął mnie w bieli szalejącej zawieii.

Szeregi maszerowały bez końca. Szereg za szeregiem. W lachmanach, głodni, chorzy, zziębnięci, nekani walczyli z nawałnicą. Przechodząc koło zasy, podnosili jednak głowy, prostowali swe zgarbione plecy i jakoś jakoby żegnali się z towarzyszem...

Wydawało mi się, że to defilada, że to ostatni honor jaki oddawaliśmy bohaterowi-koledze.

On zaś leżał na białej zaspie, zboczony obficie niewinną krwią, otulony jakoby tym sztandarem jego ukochanym. Patrzył szeroko otwartymi i uśmiechającymi się oczyma, i jakby nas żegnał.

...a wokół jak okiem sięgnął tylko śnieg... śnieg... i śnieg bez końca. A na szlaku Staszek bohater, pozostawiony na zawsze...!

Pochyliły się biało-czerwone sztandary.

Na wietrze dumnie trzepotał skrzydłami, lechicki biały zwycięski ptak.

Słychać było tylko werble i ostre rozkazy, szczęk prezentowanej broni... Orkiestra grała hymn narodowy...

Chwila była bardzo poważna i uroczysta.

Skwierzące ognie wiecznych zniczy rzucały blask na mamurową płytę, przykrytą narodową banderą, jakoby zapalały i złościły na niej napis:

„Matka swym bezimiennym synom!“

...potem padały zewsząd wieńce i kwiaty, — bez końca...

Tymczasem defilowały oddziały wojska. Miarowy ich krok głucho odbijał się w tej ciszy.

Błyskały ostrza osadzonych na karabiny bagnatów i oficerskich obnażonych szabli.

Mijałem właśnie to miejsce...

Wydawało mi się, że to tam... — hen na białym szlaku, że głodny, zziębnięty w lachmanach mijam mogiłę Staszka... — ten jego sztandar biało-czerwony... jak śnieg i krew!...

Łzy stanęły mi w oczach — płakałem. Zwróciłem zalawione oczy w prawo, wyprężyłem się, ścisnąłem mocniej broń, zacisnąłem zęby i przedefilowałem przed tym pomnikiem bezimiennych bohaterów, którzy zostawili swe młode, kryształowe życia, na szlakach ostatniego kataklizmu dziejowego, a którym Ojczyzna — Matka dziś składała ten wielki hołd!

S. J.

